DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 20 grudnia 1889 r. — Nr. 36.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Pojedyńczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f.
Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Uczmy dzieci czytać po polsku!

Wskutek wypadku
NA KOLEI ŻELAZNEJ.

Przez **P. B.**

Nowelka. Z języka włoskiego przetłomaczył **Dr. Stanisław Karwowski.**

(Dokończenie.)

Dobry Boże! Był to list bratanka mego, Aleksego. Wolałbym był skarb oddać, niż otrzymać list ów! Lecz co robić? I pozazdroszczenia godne stanowisko zamożnego kawalera ma swe ciężary, które nierzadko ukazują się w osobie młodych, osierociałych bratanków. Takie było właśnie i moje. Miałem jedynego bratanka, najlepszego w świecie chłopca, ale od dnia, gdy owdowiały ojciec jego na łożu śmierci mnie go polecił, skończył się mój samolubny spokój. Aleksy posiadał mały mająteczek, prawda, i w tym względzie nie potrzebowałem ponosić żadnych ofiar, ale musiałem — co było niełatwem zadaniem — zarządzać jego dziedzictwem, zajmować się jego wykształceniem, a później umieścić go w dobrym domu handlowym, obrał był sobie bowiem zawód kupiecki. W dniu, w którym chłopak skończył lat 21 i wyszedł z mojej opieki, spadł mi wielki ciężar z głowy. Powinność moja była spełniona, mogłem powrócić do zacisza, które mi obiecywało tyle przyjemności.

A, próżne nadzieje! Otóż pewnego ranka, brzydkiego ranka otrzymuję list od Aleksego. O! gdyby nie postać zmarłego brata stanęła mi przed oczami w tej chwili, wiem, cobym był odpowiedział jego synowi. Po tylu kłopotach i tylu plagach ów truteń miał śmiałość prosić mnie, abym oświadczył się w jego imieniu o rękę uwielbianej dziewczyny!

Ja, ja, com nigdy nic umiał ubiegać się o względy kobiet dla siebie, miałem się wdawać w takie sprawy dla innego! I z jaką pewnością ów chłystek liczył na moję pomoc i jak naszpikował list swój nieznacznemi, a jednak bolesnemi docinkami z bezczelnością bratanka, który wie, że spuścić się może na ślepe przywiązanie pobłażliwego i dobrodusznego stryja, jakim zawsze byłem względem niego!

„Jest to zachwycająca dziewczyna — kończył list swój — kocham ją i jestem kochany. Pochodzi z najlepszej rodziny i pewien jestem, że nic nie będziesz mógł zarzucić wyborowi memu, lecz jakbym wyglądał, gdybym tak sam stanął przed nią z prośbą o jej rękę? To nie wypada, lecz do ciebie to należy, kochany Stryju, który zastępujesz mi ojca. Zresztą nie będziesz miał nieprzyjemności. Moja przyszła jest sierotą i żyje z ciotką, którą mi zawsze opisuje w listach — pisywał więc i otrzymywał miłosne listy ów nicpoń! — jako anioła dobroci, tak, iż nie wątpię, że Wy, starzy, prędko się porozumiecie ze sobą. Słowem, kochany Stryju, oczekuję Cię w tem przekonaniu, że, skoro tylką przestąpisz progi owego domu, jak drugi Cezar będziesz mógł zawołać: „Przyszedłem, widziałem, zwyciężyłem.“

Urwisz jakiś, ladaco: „Wy starzy!“ Czterdziestopięcioletni mężczyzna ma być starym!? Byłbym go zmiażdżył! W tej chwili czułem się urażony przydomkiem „stary stryj,“ który mi Aleksy zwykł był dawać, a który zawsze przyjmowałem spokojnie, powiedziałbym nawet z przyjemnością. I dla tego to urwisza opuściłem spokojne zacisze i wygody i ruszyłem w podróż natychmiast, narażając nawet życie!... Już to prawda, że komu Bóg nie daje synów, temu dyabeł daje bratanków.

Zaledwiem wyrzekł owo przysłowie, gdy konduktor otworzył drzwiczki, a na stopniu, jakby różdżką czarodziejską przywołana, ukazała się postać Aleksego

Był w własnej osobie, ladaco! Zdawał mi się piękniejszym, młodszym, bardziej ożywionym, niż zwykle,

pochwycił mnie w ramiona, przytłumiając na ustach mych lawinę wyrzutów, która właśnie wybuchnąć miała; i dziękując, ściskając, zowiąc mnie najdroższym, najlepszym w świecie stryjem, drugim ojcem, zniwēczył w mojem sercu ostatni ślad gniewu. O! jaki urwisz, jaki urwisz!

Dopiero w godzinę później, w lokalu, mogłem ulżyć sobie, opisując w najciemniejszych barwach nieszczęśliwą podróż, i miałem tę nieskończoną pociechę, żem patrzeć musiał, jak się śmiał do rozpuku z mego nieszczęścia. Za to opowiedział mi drobnostkowo swoje przygody miłosne, opisał z zapałem powaby swej dziewczyny i szczęście, jakie go czekało.

Na taki obraz, okazujący nieprzystępne dla mnie słodycze, czułem, jak powstawał w sercu mojem rodzaj niemego gniewu z przymieszką gorżkiego bólu. Dla czego? Nie mógłbym powiedzieć, lecz wierzę święcie, że był to początek zazdrości, tem bardziej, że zdawało mi się, jakobym słyszał coraz wyraźniej, jakby jaką muzykę daleką, dźwięczny i pełny głos... A! jakby był się śmiał Aleksy, gdyby był mógł myśli moje odgadnąć.

— A więc, kiedyż mam odegrać tę głupią rolę? zapytałem go, skoro skończył liryczne zwierzenia.

— Jaką głupią rolę?

— No — przedstawienia się we fraku i białym krawacie „czcigodnej“ ciotce.

— Za dwa dni.

— Dla czego za dwa dni?

— Ponieważ ciocia wyjechała i dopiero jutro powróci. Zresztą dzień odpoczynku przyda ci się, kochany stryju, choćby tylko — dodał, śmiejąc się — by odświeżyć frak. Ale, ale, czyś stryj kazał przerobić go, czy też ma jeszcze krój z przed 30 laty?

Pociągnąłem go za uszy i to porządnie.

Powiadają, że suknia nie robi człowieka. Nie w każdym razie przysłowie to trafne. Zakładam się, że, ktoby mnie był widział w obcisłym fraku, w bielutkiej kamizelce, z starannie utrefionemi i woniejącemi włosami, które mimo lat 45 pozostały czarne i gęste, z wykręconym wąsem, a resztą twarzy gładziutko wygoloną, nie poznałby był zmokłego i obłocego podróżnego, który przed dwoma dniami, dysząc, zdążał do stacyi Camogli. Mimowoli znów ona przyszła mi na myśl i mimowoli zapytałem siebie, jakiebym wrażenie tak wystrojony na niej uczynił.... Lecz nie była to pora do fantastycznych marzeń. Aleksy uwijał się około mnie, poprawiał krawat, układał łańcuszek od zegarka, gładził fałdy fraka z taką troskliwością, z tak nadzwyczajnem zajęciem, jakoby skutek wyprawy zależał od nienaganności mego ubioru.

— Dobry Boże — pomyślałem — jak głupi są ci zakochani!

Chciałem właśnie wypowiedzieć tę uwagę, gdy Aleksy oświadczył, że powierzchowność moja była bez zarzutu. Pomógł mi jeszcze wciągnąć rękawiczki, potem uściskał mnie i wsadził do powozu, który miał mnie zawieźć do kobiety, od której zależało szczęście całego jego życia. Był wzruszony biedny chłopak, blady, z wymuszonym uśmiechem i lekkiem drżeniem w głosie rzekł, żegnając się ostatecznie ze mną:

— Polecam się stryjowi, a niech mi stryj przypadkiem nie zbałamuci narzeczonej.

Powóz biegł szybko, a co prawda, serce mi biło nadzwyczajnie. W takich ukropach nie znajdowałem się nigdy i cały wstęp przemowy, jaki sposobiłem sobie, aby po nim wyrazić prośbę w formie odpowiedniej do ważności chwili, nagle wypadł mi z myśli, jak to się zdarza tym, co idą sobie kazać ząb wyrwać, który im nie dawał pokoju we dnie i w nocy, a u drzwi dentysty nie czują już bólu.

Salonik, do którego mnie wprowadzono, bym oczekiwał na ciotkę dziewczyny, miał w sobie coś powabnego, rzekłbym, woniejącego, coś, co zdradza kobietę w najnieznaczniejszych rzeczach. Piękny, otwarty fortepian, rozpostarte krosienka, kwiaty, książki, ryciny, drobnostki — wszystko to rozrzucone było tu i owdzie w miłym nieporządku. Jakżeż inaczej wydawał mi się w tej chwili mój chłodny, poważny, systematycznie urządzony salon kawalerski.

Otworzyłem album i zacząłem bezmyślnie przewracać karty, gdy nagle głos zpoza zasłony wywołał we mnie nerwowe drżenie, wstrząsające mnie do głębi.

Był to głos dźwięczny i pełny zarazem, ów głos, co od dwóch dni ciągle brzmiał mi w uszach.

Nim mogłem wyjść z zadziwienia, ona stała już przede mną i wskazując mi uroczym ruchem ręki krzesło obok sofki, na którem usiadłem czemprędzej, zapewniała mnie, że maleńka przysługa, jaką miała szczęście mi wyświadczyć, niewarta była fatygi oddawania jej wizyty dziękczynnej.

O! pani — naprawdę? wybełkotałem i zamilkłem, zbity z toru i pomieszany, jak ów krawiec z Promessi Sposi po niedorzecznym wykrzykniku: Wystaw sobie!... jaki mu się wyrwał wobec arcybiskupa Boromeusza. Co innego nie przyszło mi na myśl.

Ale mówże, mówże, ośle jakiś! odzywał się głos wewnętrzny.

Mówże, mówże, drogi stryju! nalegał, jak mi się zdawało, Aleksy.

Nadaremnie! Ani głos wewnętrzny, ani głos Aleksego nie zdołał wydobyć mnie z zakłopotania; burzyłem się, złościłem na siebie samego, ale słów znaleźć nie mogłem.

I wyszedłem po dobrej półgodzinie pomieszany nad wszelki wyraz i rozsierdzony.

Jakiego mogła nabrać wyobrażenia o mnie? myślałem, powracając. O! spisałem się, spisałem! A co powie Aleksy?.... powtarzał głos wewnętrzny.

— Do dyabła! Aleksy z swą bogdanką i oświadczeniem, którego nie uczyniłem! zawołałem, zda mi się, głośno.

Słów tych nie mogłem powtórzyć biednemu bratankowi, który czekał na mnie z tą samą niespokojnością, z jaką oskarżony oczekuje wyroku.

Skoro mnie spostrzegł, wyczytał pono na mej twarzy, że coś ważnego zaszło, jakoż, nim zdjąłem kapelusz, zawołał niespokojnie:

— Powiedziała nie?!

— E — odrzekłem gwałtownie — nie powiedziała ani tak, ani nie z tej prostej przyczyny, żem ją o nic nie prosił, ani pytał.

Spojrzał na mnie wielkiemi oczyma, nie śmiejąc ust otworzyć.

— A ty, ośle jakiś — rzekłem po chwili gniewliwego milczenia — coś mi tam gadał o „starych, czcigodnych“ ciotkach?

— Ale, kochany stryju, co to ma do rzeczy?

— Może mieć najwięcej lat 35 — jeśli je ma — i tyś ją nazwał, „starą, czcigodną?“

— Ale, stryju, co to ma do tego?

— Ma do tego, ma do tego... Nie ty, lecz ja, ja jestem głupcem, poznałem siebie.

— Odkąd? zapytał wpół żartem, wpół seryo.

Patrzał na mnie, ja na niego — i zaśmialiśmy się obadwaj, czary minęły.

— Chodź i słuchaj — rzekłem po chwilce, skoro się uspokoiliśmy — Masz stałą i nieprzymuszaną wolę ożenić się z swą bogdanką? Chcesz, bym dał ci na to zezwolenie i zachował ci przychylność?

— Kochany stryju, byłbym nieszczęśliwy, gdyby było inaczej.

— A więc, ruszaj wpierw sam do ciotki i proś o jej rękę dla mnie.

Opowiadają, że żona Lota zamieniona została w bryłę soli z powodu nieszczęsnej ciekawości. W co, pytam, zamieniłby się był mój bratanek, przypuściwszy, że zadziwienie byłoby sądzone podobnie, jak karygodna ciekawość?

Dwa razy powtórzyć mu musiałem ostatnie słowa. Skoro nareszcie przekonał się, że nie żartuję, wybuchnął:

— Ty, stryju? Ty chcesz się żenić? w twoim wieku?

— Ja, ja w swej własnej osobie, tak, jak mnie widzisz. Ty się ożenisz ze swoją Esterą, a ja z ciotką. Jeśli mi da kosza, no, jeśli mi da kosza.... zapakuję kuferki i powrócę zagrzebać się w Belgrado, by już więcej tego miejsca nie opuścić.

Jeśli wam tę przygodę opowiadam, to dla tego, że, dzięki Bogu, nie miałem potrzeby pakować szybko kuferków i zagrzebywać się w Belgrado. Zapakowałem je dopiero w dwa miesiące później, owe błogosławione kuferki, niewinną przyczynę mego szczęścia. Pakowałem zaś je przy jej pomocy, gdy za powrotem z kościoła, gdzie w jednym dniu dwa się odbyły śluby, mój i bratanka mego, składałem ów sławny frak, by go dopiero w rok później przywdziać znowu w celu trzymania do chrztu pierwszego dziecka Aleksego.

My nie mamy dzieci, mimo to szczęście nasze jest wielkie, zupełne. Wystarczamy sobie nawzajem; kochamy się zawsze tą samą miłością, ona rozwesela moje życie i jest dla mnie tem, czem mi się okazała za pierwszym razem — dobrą i odważną towarzyszką podróży.

KONIEC.

DOM
w świetle hygieny i fizyologii.

napisał **A. L.**

(Ciąg dalszy.)

Piece, aby nie zabierały za wiele miejsca, ustawia się zwykle w kątach izb, błędem jest umieszczanie ich w t. zw. niżach czyli framugach, a tak samo między dwiema ścianami, gdyż tym sposobem ginie część ciepła niepotrzebnie i nierówno się ono na pokój rozchodzi. Piece z cegieł wymagają dość paliwa, ale za to długo trzymają ciepło. Żelazne piece, bądź z blachy żelaznej, bądź z żelaza lanego w różnej konstrukcyi wyrabiane, ogrzewają się spiesznie, ale równie spiesznie stygną.

W celu zapobiegania spiesznemu stygnieniu pieców żelaznych budują obecnie piece żelazne, zwane „regulatorami", w których palenie na cały dzień umieszczonego materyału opałowego tak się odbywa, że temperatura pokoju zostaje wciąż równa. Obok tej zalety oszczędza się przez rzeczone regulatory także na paliwie, wszakże mają one tę ujemną stronę, że wysuszają zanadto powietrze w pokojach, co, jakeśmy powyżej wyświecili, niekorzystnie działa na zdrowie.

Do materyałów, któremi ogrzewamy piece, należy w pierwszej linii drzewo, a dalej torf, węgiel brunatny, węgiel kamienny, olej skalny, koks (coaks), a nawet niektóre gazy.

W miarę, jak drzewo w skutek znacznego zapotrzebowania coraz bardziej drożeje, a torf, węgiel brunatny i inne nie kwalifikują się z wielu względów do zastąpienia tegoż, staje się węgiel kamienny dla swej intenzywności coraz powszechniejszym materyałem opałowym u nas, zwłaszcza od czasu, gdy koleje żelazne ułatwiają coraz więcej przewóz tegoż.

Gdy się materye opałowe palą, to wyciągają tlen z powietrza i przechodzą według swych głównych części składowych w kwas węglowy (węglik) i wodę, przyczem w miarę intenzywności procesu palenia mniej lub więcej silne ciepło się rozwija.

Skoro masy roślinne pozostawia się pod wolnym wpływem powietrza i wilgoci, próchnieją one i ulegają ostatecznie całkowitemu rozkładowi; skoro zaś przystęp powietrza jest ograniczonym, zachodzi butwienie czyli niedokładny proces palenia; substancya drzewa rozkłada się kosztem własnego tlenu, woda ustępuje, a zawartość węgla i wody (wodorodu) się wzmacnia, póki nie wytworzy się, jako ostateczny produkt, masa w węgiel obfita.

Tak powstał torf, węgiel brunatny, węgiel kamienny i inne, a im starsze są te utwory węglowe, tem więcej mają w sobie siły opałowej i tem mocniej są zwarte, im dłużej leżały pod naciskiem mas kamienistych. Do takich starych, pod naciskiem ciężkich warstw ziemnych spoczywających utworów należy węgiel kamienny, który wprawdzie wskutek zawartości czyli skupności swej trudno się rozpala, który wszakże nauczyliśmy się cenić, odkąd urządziliśmy piece i kuchnie tak, że potrafimy naprowadzić niemi zadosyć do spalenia węgla potrzebnego powietrza.

Równie silnym materyałem opałowym, jak węgiel, jest koks (coaks), który też niczem innem nie jest, jak węglem kamiennym, pozbawionym tylko składników do wytworzenia gazu oświetlającego potrzebnych. Jakkolwiek koks co do siły równa się węglikowi kamiennemu, a co do czystości nawet drzewu, a nie paląc się płomieniem, ma tę zaletę, że nie wydaje dymu, ani sadzy, zatem nie szkodzi oczom i płucom i czyni zbytecznem czyszczenie piecy — pomimo tych znakomitych własności mało jest przez gospodynie, względnie kucharki nasze pożądanem i dla tego w porównaniu z węglem kamiennym w bardzo nizkiej cenie.

Jedyną tego przyczyną jest, że koks trudniej się pali, aniżeli węgiel kamienny, co też leży w naturze rzeczy: przy wydobywaniu gazu z węgla uchodzą bowiem lotne składniki, a w miarę tegoż koncentruje czyli skupia się coraz bardziej węgiel, a to go czyni właśnie trudniejszym do rozpalenia.

Aby zaś palenie koksu ułatwić, trzeba go potłuc na małe kawałki wielkości ziemniaków, lub orzechów włoskich, w miarę czego przy pomocy 0,25 kilgr. (1/2 funt.) drzewa po upływie kwadransu rozżarzy się wskróś, a chcąc żar jeszcze przyspieszyć, podstawia się pod ruszt płaskie naczynie z wodą i przegarnia się koks w piecu tak, żeby pomiędzy sztabami rusztu kilka rozpalonych węgli w wodę wpadło i spowodowało jej parowanie czyli puszczanie pary. To parowanie wody zwiększa przewiew czyli innemi słowy pomnaża przypływ powietrza, a tem samem przyspiesza żarzenie się koksu, co gdy nastąpiło, usuwa się naczynie z wodą.

Koks wyziewa, tak samo, jak węgiel kamienny, zabójczo oddziaływający tlennik węgla, dla czego nie powinno się, dopóki węgiel zupełnie nie zczernieje, klapy w rurze pieca zamykać, albo trzeba go wprzódy wodą ugasić. Wszakże najlepiej wcale klapy nie zamykać i wcale jej nie mieć nawet, a natomiast za pomocą drzwi hermetycznych zapobiegać uchodzeniu ciepła. O ile bowiem tym sposobem ustaje przewiew powietrza, o tyle też ciepło przestaje uchodzić, lub przynajmniej uchodzenie redukuje się do zera, podczas gdy gaz węglikowy nie może wchodzić do pokoju, względnie swobobodnie przez rurę pieca umyka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ibrang - Hoihsthohl.

(Z kartek szukającego ideałów.)

(Skreślił **W. M.**)

(Ciąg dalszy.)

W chwili, kiedy Angelika w trykotach i jak najmocniéj kusym, dekoltowanym, szkocko-fantazyjnym kostyumie wchodziła do klatki — wujaszek do reszty skretyniał i w bezmyślną bryłę zmienił się na widok nieopisanie pięknej budowy tego szesnastoletniego fenomenu. Rzecz niepojęta — mimo potęgi kształtów dziewczę w każdym ruchu w najwyższym stopniu miało najniebezpieczniejszą owę gracyą, którą Francuzi zwą „les grâces vipérines."

Lubo w powyższych kilku rządkach po cztery razy użyliśmy superlatywu — to jednak i ów superlatyw jest tylko nieudolnym pozytywem, niezdolnym choć w przybliżeniu oddać pozytywnych zalet tej, która w nędznej budzie między anemicznemi wilkami i histeryczno-melancholicznemi szakalami odgrywała rolę „pasterki na puszczy."

Ale oto Angelika Kreuzmann otworzyła buzię. Miasto dźwięcznego, srebrnego głosiku słychać z ust jej ton jakiś — jeżeli nie wręcz niesympatyczny — to przynajmniej dziwnie szorstki, drażniący, ucinany. To już do reszty pobudzająco oddziałało na system cerebralno-nerwowy wuja Edwarda. Za głosem tym poszedłby był teraz w najgłębsze piekielne czeluście — byłby świat cały zaprzedał, byle słuchać drażniących, niepokojących brzmień tego głosu. Wszakżeż przebijała się tam w nim cała otchłań strasznych jakichś, mistycznych inkoherencyi charakteru i temperamentu. Stworzenie, mówiące tego rodzaju organem, intonacyą i akcentem okropną anomalią stanowić musiało między anomaliami, zwącemi się zbiorowo rodem kobiecym.

A przecież z drugiej strony — jeżeli intonacya i brzmienie fonetyczne wszystkiego tego, co miała do wyrecytowania pasterka puszczy, w zachwyt bolesny wprowadzić musiało chore nerwy wujaszka — to z drugiej znów strony treść i forma lingwistyczna nic tak dalece rozkosznego i budującego nie przedstawiały.

Z automatyczną wprawą Angelika po raz tysiączny pierwszy może w te się do hyen i lampartów odezwała słowa:

„Cóż robi towarzystwo? Nudzicie się tu z pewnością. Pragniecie zapewne liczniejszego zebrania!"

Tutaj stereotypowo otworzono sąsiednią klatkę, z której przepuszczono jeszcze kilka mizernych opłakańców kociego rodu — kuguarów czy jaguarów — mniejsza o to.

Angelika dalej mówiła do nędznych, wygłodniałych bestyjek:

„Wszakżeż wam teraz weselej?"

Wobec kompletnie zwątpiałych paszcz zdesperowanych zwierzątek słowa te zakrawały na jakąś okrutną ironią.

„A możebyście pragnęli zjeść cokolwiek na poczekaniu? Poczekajcie, poczęstuję was świeżem mięsem."

Rozpaczniki czworonożne jeszcze więcej desperackie nastroiły fizyonomie — a na zakazanych ich pyszczkach można było wyczytać myśl jednę i tę samę, wyrażającą się w trzech słowach: „nie ma naiwnych!"

Teraz przez tylne drzwiczki wpuszczono do klatki spore, tłuste jagnię, które sprawiało wrażenie dziecka, chorującego na wodę w głowie.

Angelika jagnię uniosła w górę, jak piórko. Cudowne jej ramiona widocznie nie uczuły nawet ciężaru dwudziestu pięciu funtów.

„Oto macie tłuste jagniątko. Proszę was — posmakujcie — czy kruche."

Ale schorzałe na ciele i umyśle drapieżniki uciekały od jagnięcia, jak oparzone — trzęsąc się z bezkrwistości, bezsilności, głodu, strachu i przyzwyczajenia. Biedne sobaczęta! znały one dobrze owę elegancką, ale nieubłaganą szpicrutkę stalową, oplecioną, co spoczywała w maleńkiej ale równie nieubłaganej rączce panny Angeliki.

Wujaszka ogarniał coraz większy szał, coraz nieznośniejsze podrażnienie — rozpacz i tęschnota, jaką tylko ostateczne letargiczne wizye budzić mogą w znękanym umyśle ludzkiej istoty.

Byłby on pragnął przełamać kratę, upaść do stóp tej zabójczej dla nerwów jego kobiety — błagając o litość, o jednę godzinę piekła i nieba prawdziwej, pożerającej, zabójczej miłości. O! gdyby się choć mógł tylko zamienić we wilka, lub szakala — gdyby mógł zbliżyć się do niej, jak te nędzniki czworonożne, gdyby mógł rzucić się na nią i zagryźć!.... Niechaj nie będzie przynajmniej niczyją — jeżeli moją być nie może — bo jakaż tu możliwość jakichbądź trwalszych związków między „aniołem z menażeryi" a wujaszkiem!... Edward drży, jak we febrze, na widok tej maleńkiej a tak silnej rączki, trzymającej kurczowo zaciśniętą szpicrutę — o! czemuż nie jest on kuguarem — aby go taka rączka mogła bić — bić — zabić coprędzej. Jakaż rozkosz paść pod jej razami!....

Tymczasem przedstawienie idzie zwykłym trybem! Angelika goni zwątpiałe drapieżniki po klatce, częstując je jagnięciem. One uciekają, nie śmiejąc nawet spojrzeć w stronę owieczki. Owieczka ta, co prawda, jest tu sensem moralnym całego przedstawienia — boć koniec końców ona to głównie usprawiedliwia ów szumny tytuł: „pasterki puszczy"

Z kolei następuje ostatnia najciekawsza produkcya. Stary, zwiędły, silnie alkoholem i tabaką woniejący inspicyent menażeryi — który najwidoczniej do niczego i nikogo już się nie zapala, krom może do kieliszka — podaje Angelice przez kratę kilkanaście małych, w kostkę pokrajanych kawałków surowego, krwią ociekającego mięsa. Podając je, ani nie wejrzał nawet na „anioła." Wujaszkowi inspicyent wydaje się jakąś niepojętą, wyższą, szczęśliwą, uprzywilejowaną istotą — która codzień może ocierać się z blizka o Angelikę — ale szczęściem tem przesycona, już nawet go należycie ocenić nie umie.

Ideał w klatce bierze teraz kolejno kawałeczki mięsa w usta, zaciskając je silnie jednym rogiem między białemi ząbkami. Z kolei nadchodziły hyeny, wilki, jaguary — a każde wydziera z ust Angeliki zgrabnie i ostrożnie drobny kąsek.

Pomimo zachwytu i szału nieopisanego, w jaki popadł wujaszek z pierwszą chwilą ukazania się Angeliki — ostatnia ta część dresury sprawiła na niego wrażenie przykre, wstrętne, odrażające, obrzydliwe. Te kawałki surowego, krwawego mięsa w ustach dziewczęcia — te zapienione pyski zwierzęce, ocierające się o jej twarz śniadą — łapy kłaciate, wsparte na jej cudownie utoczonym biuście — wszystko to stanowiło taką jakąś okropną mieszaninę grozy, piękna, ohydy, uroku, śmieszności, wstrętnej brutalności i znów pociągającego kontrastu — że w mózgownicy Edwarda naprawdę przewracać się poczęły wszelkie klapki, pojęcia i kategorye.

Wujaszek patrzy, patrzy i patrzy — a napatrzeć się nie może. Drażni go to i gnębi, unosi, zachwyca i napełnia niczem niewysłowionym wstrętem. Jeszcze chwilę — a nie wytrzyma nieznośnych, szalonych emocyi i śmiać się pocznie, lub płakać krwawemi łzami...

Lepiej wyjść coprędzej i uniknąć skandalu.

A wszakżeż tam wszystkie owe dwunożniki, gapiące się na brać czworonożną, w najwyższym stopniu zadowo-

lone z całego przedstawienia. Brawa i brawa — brawa niesłychane!

Wujaszek już na ulicy — chłód zimowy przywraca mu odrobinę przytomności.

„Czy kocham ją nad życie — czy brzydzę się nią okropnie — czy uwielbiam ją bez granic — czy też mam dla niej uczucie wstrętu i pogardy?...“

To zapytanie zadaje sobie Edward po raz siedmdziesiąty szósty, dochodząc do swego mieszkania.

„Bodaj to będzie jedno i drugie!.... Czy wytrzymam długo tego rodzaju psychiczną torturę?... Jakiż stan umysłu czeka mnie teraz na czas długi!...“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.“

Echo szańcowe.

W Komierowie, majętności p. dr. Komierowskiego, odbył się w listopadzie zjazd członków wydziału nadleśników, należącego do „Towarzystwa centralnego.“

Jak to wiemy, głównem zadaniem nadleśników jest ocenienie ze stanowiska nauki i praktyki obecnego położenia i potrzeb naszego gospodarstwa leśnego, udzielenie rady względem zadosyćuczynienia najpilniejszym wymaganiom, dla zwiększenia bogactwa kraju, zagajenia pustek, nieużytków i powiększenia produktywności gruntów leśnych. Zjazdy takie przynoszą właścicielom naszych obszarów leśnych niemałą korzyść — tymczasem w społeczeństwie naszem coraz o nich ciszej, bo chociaż produktywnych kierowników gospodarstwo leśne ma u nas po dostatkiem, ale wykonawców zupełny brak, a tych właśnie największa jest potrzeba. — Krytyczne położenie większych właścicieli zmusza ich do szukania ocalenia tam, gdzie jedynie znaleźć je mogą, a więc w lasach. Wycinają zatem lasy i to, nieraz od kilku set lat wyrosłe na polskim gruncie drzewo usuwa się, przechodzi w obce ręce, pociągając za sobą utratę obszernych, ziemskich majątków. — Leśnicy w obranym sobie zawodzie dają nam dowód, że nietylko ukochali lasy, ale i tę naszę biedną polską ziemię.

I wielu innych powinno iść za ich przykładem, ukochać więcej rodzime lasy, pracować nad ich urządzeniem choćby nawet z trudem i mozołem.

Zjazd więc, o którym wspomnieliśmy, miał dla całego zgromadzenia niezwykły urok; — jego członkowie mieli sposobność na dwustu set morgach rozkoszować się widokiem wysoko wybujałej brzeziny, poważnych dębów, bardzo pięknej olszyny, sośniny i wzorowo prowadzonym szkółkom — zresztą może niejeden czytający te słowa będzie miał sposobność coś więcej o nim usłyszyć z podanych referatów zgromadzeń agronomicznych i przekonać się, że pisząca te słowa, choć tylko zwyczajna lubowniczka naszych polskich lasów, nie dała się zbyt rozmarzyć ich tajemniczemu szumowi — Pisząc o zjeździe, trudno nie wspomnieć o samej miejscowości Komierowa, tem więcej, że mamy tutaj sposobność obznajomić czytelnika z mało mu znanemi szczegółami. Komierów leży na krańcach Prus zachodnich, prawie na południe Pomorza; posiadłość ta pozostaje od r. 965 w rękach tej samej rodziny, przybyłej do Polski wedle podań kronik familijnych w orszaku królowej Dąbrówki i wywodzi swój początek od czeskiej rodziny Bossutów, której Mieczysław I nadał znaczne dobra około Gniezna i Nakła, między innemi w powiecie nakielskim: Komierowo i Włościborz.

Ówczesnym zwyczajem od włości dziedzicznych przybierano nazwiska, gdy więc potomkowie Bossuty rozpadli się z biegiem wieków na liczne gałęzie, właściciele Komierowa od miejscowości tej przybrali nazwisko swoje, zamieniając swój dawny herb Wieniawa na Pomiana. — Dwór Komierowa stoi od przeszło dwustu lat na znacznej wysokości, wokoło niego roztaczają się doliny, obszerne lasy, historyczne szańce, które, dziś zagajone młodą zielenią, przed siedmiu wiekami podczas napaści dziczy pomorskiej oszańcowały Władysława Hermana, który wśród nich rozłożył swój obóz i stąd działał przeciwko Nakłu, chcąc głodem je zmusić do poddania się. Na narodowe te wspomnienia patrzymy z okien dworu staropolskiego, cechy starodawnej, pełnej powagi i typu niezwykłego. Nic w nim nie razi nowożytnością, wszystko nam mówi o przeszłości, i zdaje się uczyć, jak zarabiać na przyszłość, by po sobie pozostawić nieśmiertelne wspomnienia. — Myśl tej przeszłości ukochało całe późniejsze pokolenie, jako spuściznę po praojcach swoich i dalej ją prowadziło i prowadzi, w niej pracowało i pracuje w tem silnem przeświadczeniu, że rozszarpanej ojczyźnie zachowuje jeden gorętszy promień minionej świetności!

W obszernych pokojach spotykamy zbiory starożytnych mebli i przedmiotów, które trudno tutaj wymieniać; wśród nich widzimy w niżach stojące figury z drzewa Chrystusa Pana i św. Wojciecha, znalezione na okopach, bardzo ciekawego kształtu i misternej roboty; dalej szereg familijnych portretów od najdawniejszych czasów, zatem i od najstarszych potomków całej rodziny, do której się także zaliczał Grudziński, arcybiskup chełmiński, który brał udział w wojnach szwedzkich.

Ogród — to wielka, górzysta gęstwina, wśród której piętrzą się dęby ogromnej objętości, wijąc się w długie, wiązane szpalery. Taką to ciemną aleją dochodzi się do wznoszącego się na górze, pomiędzy świerkami małego kościołka wiejskiego, nieodznaczającego się ani wytwornością, ani bogatemi na zewnątrz ozdobami, ale zasługującego przecież na uwagę miłośników pamiątek narodowych. W roku 1113 Pomarzanie, dostawszy się do zamku nakielskiego, trzymali w nim uwięzionego Michała z Komierowa i dopiero, w roku 1118, gdy Bolesław Krzywousty zdobył Nakło i Pomarzan zmusił do poddania się, znaleziono go wśród zabitych. Ciało jego sprowadzili bracia jego do Komierowa i tam na okopie pogrzebali. Ks. Włościborz, arcybiskup gnieźnieński, około 1572 r. za zezwoleniem Papieża Mikołaja III wystawił w miejscu, gdzie zwłoki jego przodka były pochowane, na pamiątkę jego kościoł pod imieniem św. Michała i umieścił w nim blachę z następnjącym napisem:

Sobiesława Bossuty Piotr, Michał, synowie,
Jeden na Włościborzu, drugi Komierowie;
Od Władysława w Płocku za waleczne sprawy
Zyskali miecz rycerski za Wić do Wieniawy;
Wnet Michał z Włościborza, Pomian z Wieniawity,
Pojmany od Pomarzan i w Nakle zabity.
W tych ten rycerz okopach, ta jego mogiła,
I tym go pamięć wnuka grobowcem wsławiła.

Oryginał tej blachy przetrwał kilka wieków, wreszcie, nie wiadomo gdzie, zaginął; obecnie napis ten przepisany na wielkiej, marmurowej płycie, wmurowanej u wejścia do obszernego grobowca familijnego Komierowskich, obejmującego już kilkadziesiąt trumien. Ze czcią ugina się kolana wobec popiołów tych niezmordowanych strażników, którzy, na kresach walcząc z wrogiemi żywiołami, z tym większym trudem zwyciężali, otrzymując w nagrodę wieczny odpoczynek na rodzinnej ziemi!

Okolica Komierowa jest przeważnie niemiecka, lud niedokładnie włada językiem, wieśniaczki ubierają się po mieszczańsku, pomimo to powszechnie witają się staropolskiem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ W tych trochę odludnych okolicach doznaje się tego silnego przekonania, że spotyka się tam przeważnie ludzi obowiązku i pracy wytrwałej, którzy bronią się i nie dadzą.

Łącząc: *l'utile à l'agréable*, niech się łaskawi Czytelnicy nie dziwią, jeśli moje echo szańcowe zakończę nadmienieniem, iż we wzorowo prowadzonem gospodarstwie komierowskiem mieliśmy sposobność przekonać się o nadzwyczaj praktycznym i polecenia godnym separatorze ręcznym, który za pomocą jednej tylko osoby dwieście litrów mleka na godzinę przerabia, a łatwym dla swojej przystępnej ceny do nabycia dla tych, którzyby u siebie mleczne gospodarstwo zaprowadzić chcieli.

St. An.

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

„Wicek i Wacek", komedya Z. Przybylskiego, przetłomaczona na język rosyjski p. t. „Szałaputy" cieszyła się w Moskwie wielkiém powodzeniem. Krytyka miejscowa oceniła ją nader pochlebnie.

Stanisław Rzewuski napisał nową powieść w języku francuzkim p. t. „Alfredine".

Józef H. Rychter, znany badacz i poszukiwacz niedrukowanych utworów Słowackiego i innych celniejszych poetów w zbiorach rękopiśmiennych, wydał w ostatnich czasach w Krakowie dwie prace oryginalne: „Droga życia" (szkic poetyczny) i „Ciernie i wawrzyny" (zbiór powiastek historycznych). „Droga życia" nie daje nam wprawdzie myśli nowych, lecz autor opracował je w formie bardzo pięknej, poetycznej i z pewnym polotem fantazyi. W „Cierniach i wawrzynach" spotykamy się znów z szeregiem ulotnych powiastek historycznych, skreślonych żywo, stylem barwnym, z ujmującą łatwością w obrazowaniu. W zbiorku tym szczególniej szczęśliwemi są pomysły: „Zadatku Słowianina" i „Kiszporga", zalecające się szczerą oryginalnością.

Z Rzymu donoszą: Dr. Artur Wołyński, dyrektor muzeum Kopernika w Rzymie, drukuje obecnie po włosku wyciągi z akt akademii padewskiej, czyli spis dziesięciu tysięcy imion i nazwisk Polaków, którzy się kształcili w tej akademii od r. 1592 1743.

Z życia Małorusinów. „Das Kriegerdenkmal. Eine Geschichte aus der Kleinstadt von M. Koninsky-Weiss" Pod takim tytułem ukazał się świeżo obrazek w łamach amerykańskiego niemieckiego „New-Yorker Herold." Treścią jego jest wydarzenie z życia Małorusinów, podane objektywnie i bez przekąsów.

Powieść niemiecka. Królowa rumuńska, Carmen Silva, nowy promień dodaje znów do swojego leśnego pseudonimu. Nowelki jej dowodzą, jak dalece rozumie ona i współczuje z kołami społecznemi, zostającemi poniżej tronu, że wniknęła w pojęcia i wyobraźnię swojego ludu. Powiastka jej: „Die Schwiegermutter" jest poniekąd fotografią otaczających ją w nowej ojczyznie rumuńskiej stosunków. Pod ogólnym tytułem: „In der Irre", nanizała Carmen Silva na jeden sznurek prawdziwy szereg pereł najczystszej wody, z pośród których „Noc w Karpatach" poczuciem natury celuje.

Baronowej von Ebner powieść p. t. „Capitalistinen" uchodzi za arcydzieło w oczach znawców.

Piastujący do niedawna berło noweli w Niemczech, Teodor Storm, występuje z pośmiertną powieścią p. t. „Schimmerreiter", a umieszczoną, jak większa część utworów tegoż pisarza, na wybrzeżach Fryzyi, wydartych ludzkim trudem i znojem z paszczy wiecznie usiłującego je napowrót pochłonąć oceanu. Autor w mistrzowski sposób przezwycięża najtrudniejszy problemat dla nowoczesnych pisarzów, którzy, odbiegłszy świat cudów i czarów, nie umieją już nadać pozorów rzeczywistości cudownym, ani też pozorów cudowności rzeczywistym obrazom.

Ebers na razie opuścił brzegi Nilu, aby w swojej „Gredzie" przenosić nas z Norymbergii do Wenecyi.

Spielhagen w „Nowym Faraonie" nie maluje ani Bismarcka, ani cesarza Wilhelma, lecz „Zeitgeist" epoki, który, wyszumiawszy w roku 1848, na podobieństwo nowego w biblii faraona, zaniechał mar sennych i już o wytłomaczenie swoich nocnych widzeń Józefa nie pyta, wytrzeźwiawszy aż nadto ze wszelkich ułud fantazyi i marzeń.

Redakcya codziennego pisma londyńskiego: „Daily Graphic", zaprosiła do współpracownictwa dwóch polskich malarzy: Antoniego Piotrowskiego i Stanisława Witkiewicza. Pierwszy wyjeżdża w charakterze korespondenta wymienionego pisma na kretę.

Na ostatnim konkursie cesarskiej akademii sztuk pięknych w Petersburgu stopnie akademików pierwszej klasy otrzymali: malarz Konstanty Krzyżycki, oraz budowniczy Tołwiński Z pomiędzy wychowańców wymienionej akademii architekci: Czesław Domaniewski, Leon Prokopowicz, Wiktor Wieliczko, oraz malarz Wincenty Łukaszewicz, otrzymali medale złote drugiej klasy.

Leopold Horowitz, pełen talentu portrecista, powołany na kierownika akademii sztuk pięknych w Peszcie, opuszcza Warszawę, w której kilkanaście lat mieszkał, i z którą zżył się serdecznie.

We Lwowie powstał projekt utworzenia spółki, zamierzającej nabywać obrazy artystów polskich za gotówkę, a odprzedawać je na raty. Pomysł ten jest istotnie doskonały i zasługuje ze wszech miar na poparcie, dopomoże bowiem do rozwijania się sztuki rodzimej, wesprze młodych malarzy, często walczących z nędzą — i może wzbroni wstępu do domów naszych obrzydliwym oleodrukom, tak smutnie świadczącym o naszym smaku artystycznym.

W Krakowie i Lwowie koncertował w ostatnim czasie fortepianista Józef Śliwiński i zachwycił wszystkich swą świetną i mistrzowską techniką. Krytyka tamtejsza rokuje młodemu muzykowi, że wnet zajaśnieje na europejskim firmamencie artystycznym, jako gwiazda pierwszorzędnego blasku.

Paderewski w Bukareszcie. Jednocześnie, gdy kółko rodaków święciło pamiątkę listopadową, publiczność rumuńska zgromadziła się nadzwyczaj licznie w wspaniałym gmachu Ateneum dla wysłuchania koncertu znakomitego naszego pianisty Paderewskiego. Sprowadziły go do Bukaresztu starania księżnej Heleny Bibesco, która miała sposobność słyszeć i poznać młodego muzyka w Paryżu. Wystąpił on na poranku muzykalnym u królowej, w którym brał też udział znakomity skrzypek czeski Ondriczek. Koncert niedzielny urządzony był pod protektoratem królowej, była ona więc obecną z następcą tronu na występie znakomitego naszego rodaka. Olbrzymia sala koncertowa nowego Ateneum przepełnioną była, jak nigdy, zebrała się w niej cała arystokracya i inteligencya Bukaresztu. Pisma tamtejsze nie szczędzą mu najgorętszych pochwał. „Indépendence Roumaine" mówi, że był to koncert pianisty, „którego gwiazda świecić dopiero poczęła, a już goreje pełnym blaskiem obok promiennej gwiazdy Rubinsteina."

Reprodukcye obrazów malarzów polskich ciągle pojawiają się w ilustracyach czeskich. Świeżo „Zlata Praha" podała drzeworyt z obrazu Adjukiewicza: „Ćwiczenia wojska austryackiego w Galicyi"; „Svietozor" zaś obraz Józefa Wodzińskiego: „Na pobrzeżu w Ostendzie". W ilustracyi chorwackiej „Vienac" dają również drzeworyty z naszych obrazów, jak: „Hucułkę" Szernera, kopią antepedyum Nałęcz Hakowskiego z obrazu Matejki: „Sobieski pod Wiedniem". W „Svietozorze" podano reprodukcyą obrazu Wacława Szymanowskiego: „Kłótnia Huculów".

W roczniku VI czeskiego „Athaeneum" ukazały się recenzye następujących dzieł polskich: Kraushara: „Czary

na dworze Batorego“, E. Bogusławskiego: „Historya Słowian“; w zeszłym zaś roczniku VII są referaty o dziełach Stanisława Smolki: „Kiejstut i Jagiełło“ i E. Bogusławskiego: „O szkicach lito-windyjskich“. Recenzent dzieła Smolki, J. Vanczura, oddaje pracy naszego historyka wielkie pochwały.

„F.“ przeciw „Ph.“ Kwestyą na dobie w paryzkim naukowym świecie jest obecnie sprawa ortografii: czy należy pisać „philosophe“, czy „filosofe“? — oto co zaprząta w tej chwili nadsekwańskich językoznawców. Podniosł tę kwestyą, roznamiętniającą już dziś setki najpoważniejszych ludzi, p. Ludwik Hervé, profesor w kolegium francuzkiem (*Collège de France*), a poparły go natychmiast takie powagi literackiego świata, jak pp. Gaston Paris, Paweł Meyer, Michał Bréal i inni. Ci panowie chcą po prostu uproszczenia zawiłej ortografii francuzkiej. Chcą, aby uczono pisać i pisano tak wyrazy, jak się one wymawiają; zatem nie *noeuds* (węzły) ale *neus*, bo tylko te słyszymy litery, nie *appeler* ale *apeler*, bo drugiego „p“ nie słyszymy wcale; a już przede wszystkiem domagają się, aby pisano wszędzie „f“ zamiast niczem nieusprawiedliwionego „ph“. Korzyści tego rodzaju reformy, jeżeli system p. Ludwika Hervé weźmie górę, tłomaczyć nie potrzeba; ów system uprzystępni naukę pisowni francuzkiej, wcale niełatwej cudzoziemcom; ułatwi poznanie jej dzieciom; oszczędzi mnóstwu osobom wiele trudu i pracy. Zwolennicy klasycznej pisowni francuzkiej, ustalonej w XVI wieku, protestują, ale coraz więcej podnosi się głosów, domagających się estetycznej i praktycznej reformy i szczerze życzyć należy, aby ona co najrychlej znalazła praktyczne we Francyi i w świecie całym zastosowanie. Wtedy dopiero język francuzki mógłby się stać istotnie uniwersalnym językiem.

Rajem kobiecym może się nazwać państwo Kanzas, w Ameryce północnej. Kobiety posiadają tam wprawdzie prawo głosowania tylko przy wyborach lokalnych, mimo to dominują w całej krainie. Nie brak rad gminnych i miejskich, które wyłącznie z kobiet są złożone; więcej też kobiet, niż mężczyzn, pełni tam obowiązki kaznodziejów, adwokatów i lekarzy, a cała męzka połowa rodu siedzi pod pantoflem i nierzadko spełnia czynności specyalnie kobiece, jak pranie, prasowanie, szycie itp. Kilka kobiet prowadzi kantory bankierskie, trzy panny są redaktorami dzienników, kilkanaście spełnia funkcye zecerów i drukarzy. Miejscowość Cottonowood Falls postarała się nawet o sędziego w spódnicy, który niezwykle surowo obchodzi się z przestępcami rodzaju męzkiego i szczególniej ciężko karze zdrady małżeńskie!!

†

Nekrologia.

Ludwik Anzengruber, znakomity dramaturg wiedeński i jeden z przywódzców realistycznego kierunku w literaturze niemieckiej, umarł dnia 10 bm., licząc zaledwie 50 lat życia. Anzengruber był samoukiem. Straciwszy ojca w dzieciństwie, przestał uczęszczać do szkoły, a pragnąc zarabiać na utrzymanie swoje i matki, wstąpił do księgarni. Tam czytywał wszystko, co mu popadło w ręce i w ten sposób uzupełnił swe wykształcenie. W dwudziestym roku życia porzucił księgarstwo i wstąpił do teatru. Zawód aktorski jednak przyniosł mu tylko gorycze i rozczarowanie.

Pierwszy jego dramat p. t.: „Proboszcz z Kirchfeldu“, pojawił się w roku 1870 i od razu nazwisko jego uczynił głośnem. Napisał ogółem ze dwadzieścia kilka sztuk, a chociaż nie wszystkie są równej wartości literackiej, grywają je jednak dotąd po wszystkich scenach niemieckich z ogromnem powodzeniem. W ostatnich czasach dzieła te przynosić mu poczęły ładne dochody. Sztuka p. t. „Plama na honorze“, wystawiona w Wiedniu 15 września br., przyniosła mu do 30 listopada, a więc w ciągu 2 i pół miesiąca ogółem 3686 guldenów tantyemy. Jako dramaturg „Teatru ludowego“ pobierał nadto 1000 guldenów rocznej pensyi.

Redagował też tygodnik „Figaro“ i w nim to właśnie ukazał się ostatni jego utwor dramatyczny; jest tu podziękowanie dla winszujących mu 50 rocznicy urodzin w dniu 29 listopada b. r. W wierszyku tym o trzech zwrotkach powiada, że jak dawniej każdy obdarzony zwykł był mawiać: będę się modlił gorąco, tak on musi powiedzieć: będę za to pisał gorąco! Niestety, obietnicy tej nie mógł dotrzymać. Pozostawia jednak gotową, a niegraną dotąd sztukę p. t. „Heimgefunden.“ Pierwsza próba z niej miała się odbyć właśnie w dzień jego skonu, aktorowie rozeszli się jednak na wieść o żałobnej nowinie. Anzengruber pisywał też bardzo udatne nowele na tle ludowem.

Bibliografia.

„Album pamiątkowe Adama Mickiewicza“ wydał Władysław Piast. We Lwowie. Księgarnia H. Altenberga.

(Jest to album, zawierające ryciny, odtwarzające autograficzni portrety rodziny, przyjaciół i blizkich znajomych poety, miejscowości, w których głównie przebywał, medal wybity na cześć Mickiewicza, Micheleta i Quineta, gród na cmentarzu w Montmorency, pomnik w Poznaniu i tym podobne).

„Z zagonu i bruku.“ Zbiór nowel Dygasińskiego. (Przy kościele. — Liczne przygody krótkiej podróży. — Walkowe zaloty. — Łabędzie. — Dwa dyabły. — Mąż z krukiem. — Agent ubezpieczeń. — Dwie upadłości). Warszawa. Nakładem S. Lewentala. 1890.

„Goethe in Polen.“ Ein Beitrag zur allgemeinen Litteraturgeschichte. Von Gustaw Karpeles. Berlin. F. Fontane. 1890.

„Joachim Lelewel w Brukseli.“ Przez Henryka Merzbacha. Odbitka z „Dziennika poznańskiego.“ Poznań. Nakładem i czcionkami drukarni „Dziennika poznańskiego.“ 1889.

„Historya nowożytna“ przez Tadeusza Korzona. Z 64 rysunkami w tekscie, mapą historyczną i tablicami genealogicznemi. Tom I. do 1648 roku. Nakład G. Gebethnera i Sp. 1889.

„Szkice psychologiczne“ napisał J. Wł. Dawid. Warszawa. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i Sp. 1890.

„Nowele“ Ostoi. (Miłość babuni. — Zły duch. — Złota rybka. — Scyzoryk. - List. — Z krainy duchów. — Z moich stron. — Nowa łodź). Z przedmową dr. Piotra Chmielowskiego. Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i Sp. 1890.

„Teatrzyk dla młodzieży.“ Bolesławicz. Lwów. Nakładem redakcyi „Małego światka.“ 1890.

„Trefniś“ Nowela, obrazki i szkice przez Wincentego Rapackiego. Warszawa. Nakładem redakcyi „Echa muzycznego, teatralnego i artystycznego“ (Rajchman i Frendler). 1890.

Paweł Mantegazza. „Sztuka długiego życia,“ tłomaczył dr. med. L. W. Warszawa. Nakład księgarni T. Paprockiego. 1890.

M. J. Z a l e s k a. „Z krainy czarów“, legendy, baśnie i podania najpiękniejsze swojskie i obce, wybrała i ułożyła dla młodzieży (z rycinami) Warszawa. Nakład Ferdynanda Nösica.

M. G a w a l e w i c z. „Komedye“ jednoaktowe i monologi, serya druga str. 311. Warszawa.

J. T. Weber. „Sztuka ożenienia się i wyjścia za mąż.“ St. 100. Warszawa. Orgelbrand.

„Leczenie domowe.“ Pod tym tytułem księgarnia Orgelbranda wydała szereg książeczek tłomaczonych. Dotąd wyszły: „Ucho“ L. Loewego; „Choroby zębów“ Guérarda; „Skrofuły“ Niemayera; „Choroby serca“ A. Langego; „Choroby kobiece“ J. H. Baasa; „Skóra i jej choroby“ (oryg.) dra J. Starkmana; „Gimnastyka“ Grünfelda.

Influenza czyli grypa.

Choroba ta zaraźliwa, zwana u nas grypą, przenosi się obecnie z nadzwyczajną szybkością z kraju do kraju. Znana jest dopiero od XIII wieku, w dawniejszych czasach nie było jej śladu.

Z biegiem czasu choroba ta dostawała różne miana po większej części nazwy narodowe i tak: katar, modna febra, owczy kaszel, la gripe, petit courrier, la follete, influenza i t. p.

Do roku 1870 naliczono przeszło 90 rodzajów tej epidemii, grasującej w rozmaitych częściach świata. O ile się zdaje, epidemia niezależną jest wcale od pory roku, temperatury i powietrza, gdyż ukazywała się wszędzie, każdego czasu.

Co się tyczy przyczyny tej choroby, to dotąd sztuka lekarska nie ma żadnych pewnych wiadomosci w tym względzie. Większość jednak lekarzy zauważyła, że choroba po ukazaniu się atakuje najprzód kobiety, później mężczyzn a na ostatku dzieci. W wielu wypadkach nawet w sposób znaczący dzieci bywają uchronione od tej choroby.

Osoby słabe i nerwowe więcej są wystawione na influenzę, niż zdrowe.

Dawniej epidemia ta zwyczajnie trwała tylko 4 do 6 tygodni. Zaatakowane pojedyńcze osoby zwykle tylko przez kilka dni chorowały. Faktem jest, że influenza pozostawia zwykle na chorym swe ślady w wycieńczeniu sił, do których chory tylko powoli wraca.

Grypa nie jest chorobą niebezpieczną. Osoba, dotknięta nią, zwykle po pewnym czasie przychodzi do zupełnego zdrowia. Podczas wielkiej epidemii w początkach trzeciego dziesiątka bieżącego wieku śmiertelność wprawdzie w wielkich miastach była daleko większą, niż zwykle: lecz zmarłe na grypę osoby były po największej części równocześnie chore na płuca, lub były to osoby w podeszłym wieku.

Trudno się zabezpieczyć przed tą chorobą, gdyż przychodzi ona zwykle niespostrzeżenie, jakoby z powietrzem. Lekarze jednak radzą, aby stare i słabe osoby podczas epidemii o ile możności nie wychodziły z pokoju. Ważną jest także rzeczą podczas epidemii ubierać się ciepło stosownie do pory roku i zmian powietrza. Przede wszystkiem jednak starać się trzeba o jak największą czystość w mieszkaniu, o jak najwięcej świeżego powietrza.

Na zebraniu towarzystwa lekarskiego w Petersburgu w dniu 29 z. m. profesor Zdekaner, prezes tamtejszej rady lekarskiej, miał odczyt o grypie. Między innemi oświadczył on, że przeżył już 5 cholerycznych epidemii. Przed każdą z tych epidemii grypa zawsze ukazywała się naprzód, jako zwiastunka cholery. Stąd wnosi uczony i doświadczony profesor, że i tym razem cholera niezadługo w Europie się pojawi, zwłaszcza że obecnie zaczęła już grasować w Persyi. Radzi on, aby rząd natychmiast poczynił hygieniczne zabezpieczenia w całym kraju przeciw temu straszliwemu wrogowi. Zapatrywań i obaw tych jednak wielu lekarzy petersburskich nie podziela wcale, utrzymując przeciwnie, że grypa z cholerą nie ma nic wspólnego. Zgadzają się jednak wszyscy na to, że swoją drogą cholera z Persyi bardzo łatwo może się przenieść do Rosyi; należy zatem przedsiębrać wszelkie środki ostrożności, aby nieproszonego tego gościa nie wpuścić do Europy. *M.*

Rozwiązanie łamigłówki

w n. 35 «Domu polskiego».

1. Rataje. — 2 Orestes. — 3. Dynamit. — 4. Zimajer — 5. Ind wie. — 6. Ernani — 7. Widelec. — 8 Itenbach — 9 Czerwieńce. — 10 Zanzibar.

Rodziewicz. — Estreicher.

Dobre rozwiązanie nade łały panie: Zofia Laskowska z Zaniemyśla, W. i E. Parowicz z Będlewa i panowie: Antoni Fiedler, A. Fromholz i Adam Kompf z Poznania.

OD REDAKCYI.

Szanownym Współpracownikom, Prenumeratorom, Czytelnikom i wszystkim Przyjaciołom „Domu polskiego“ przesełamy życzenia wesołego — o ile to podobna wśród stosunków obecnych naszych — przepędzenia świąt Bożego-narodzenia, a łamiąc się z Nimi w duchu opłatkiem wigilijnym, dodajemy serdeczne życzenia błogosławieństwa Bożego, wytrwałości w pracy i trudach, i cierpliwości..... aż i dla nas światlejsza na ciężkiemi dziś chmurami zaciągniętym ojczystym firmamencie zabłyśnie gwiazdka betleemska!

„Dom polski“ nadal w tych samych, co dotychczas, wychodzić będzie warunkach, z tą korzystną zmianą, że w skład redakcyi wejdą od Nowego-roku nowe, świeże, znane już i zasłużone na polu dziennikarskiem siły. Tym sposobem żywimy nadzieję, że „Dom polski“ coraz więcej podnosić, rozwijać, ożywiać i udoskonalać się będzie, aż wreszcie w zupełności spełni swe zadanie, określone w prospekcie, przy założeniu pisma ogłoszonem.

Szanowne Społeczeństwo nasze usilnie i gorąco prosimy, aby szczerym zamiarom i usiłowaniom naszym przyjść w pomoc raczyło jak najliczniejszą prenumeratą, aby ten jedyny pod zaborem pruskim organ polski, literacki nie uległ zagładzie dla braku poparcia.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.